Na temat roku 2018-2019 w Polsce napisano wiele prawd i półprawd. Napotkałem wywiad z profesorem Andrzejem Chwalbą z UJ pod tytułem „Ostatnia Chwila Niepodległości”. W sumie to autor na pierwszym miejscu mnie zaintrygował, a później naturalnie temat niepodległości 1918 roku.

Spotkaliśmy się z Andrzejem Chwalbą w Częstochowie, po sąsiedzku, i rodzinnie. Ja licealista Liceum im. H. Sienkiewicza, a Andrzej korepetytor historii.

Płaciłem kasą, a Andrzej Chwalba zaszczepiał we mnie historię.

Dlaczego korepetycje u Andrzeja Chwalby? Gdyż, jako jedyny w Częstochowie, uczył prawdziwej, polskiej, patriotycznej historii w odróżnieniu do komunistów. Cudowne chwile pytań i odpowiedzi. De facto nie wiedząc o tem, to Andrzej Chwalba jako Prof. Historii w korepetycji, jako starszy kolega zaszczepił we mnie miłość i szacunek do historii. Drugim był Stanisław Pospieszalski senior rodu Pospieszalskich, architekt sztuki monumentalnej, który w kilka lat później nauczał mnie polskości, historii, historii sztuki na zapleczu kościółka św. Barbary, w ogrodzie, między świętymi, i cudownym źródełkiem uzdrawiającym pielgrzymów jasnogórskich. Tam to właśnie w ogrodach kościoła św. Barbary na ławeczce Stanisław Pospieszalski wkładał mi do głowy historię powszechną i historię sztuki ze starożytnością, aby przygotować mnie do egzaminów na Uniwersytet Mickiewicza w Poznaniu. Dzięki nauczycielowi sztuk przepięknych Stanisławowi egzaminy zdałem celująco z gratulacjami od profesorów uniwersytetu za rozległą wiedzę. Ta wiedza była wiedzą Stanisława i prekursora mojego zamiłowania historycznego Profesora Andrzeja Chwalby. Tak więc jego spojrzenie na moją Ukochaną Ojczyznę Polskę i jej powstanie w 1918 roku jest dla mnie bardzo bliskie i mam do niego zaufanie.

Dlatego publikuję ten wywiad na stronie i zachęcam do przestudiowania.

Janusz Baranowski - Tatar Polski, twórca Solidarności, potomek Powstańców Styczniowych, Legionistów, Generałów, Harcerzy, Szarych Szeregów, Żołnierzy Wyklętych

OSTATNIA CHWILA NA NIEPODLEGŁOŚĆ

Z prof. Andrzejem Chwalbą rozmawia Kamil Nadolski, Newsweek, nr 9/2019, 25.02-3.03.2019 r.

Gdyby koniunktura na odzyskanie wolności pojawiła się 50 lat później, prawie nie byłoby Polaków na Śląsku, na Pomorzu i w Wielkopolsce - opowiada nam PROF. ANDRZEJ CHWALBA, historyk i autor książki „1919. Pierwszy rok wolności”

NEWSWEEK: Gdy opadły już emocje związane z 11 listopada i odzyskaniem wolności, przyszedł czas na ciężką pracę. Pisze pan, że trzeba było wymyślić Polskę na nowo. Co to znaczy?

PROF. ANDRZEJ CHWALBA: W1919 r. można było żyć wspomnieniami przerwanej w 1795 r. historii Rzeczypospolitej, ale powrót do unii Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego - jak sądzili niektórzy politycy - był niemożliwy. Ta epoka minęła.

W wieku XIX na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej pojawiły się nowe narody, które kiedyś były tylko częścią „świata poddanych”. Chłopi ukraińscy, białoruscy, litewscy czy łotewscy wykształcili własne elity i stali się narodami. Niektórzy polscy politycy tego nie dostrzegali. Albo lekceważyli ten fakt, albo wydawało im się, że są to narody, które nie będą w stanie stworzyć własnego państwa.

Inni politycy zdawali sobie sprawę, że nie możemy ponownie wejść do tej samej rzeki, ale szukając inspiracji, niewiele mogli skorzystać z polskiej myśli niepodległościowej XIX wieku, bowiem polscy myśliciele i politycy tego czasu szukali przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, jak odzyskać niepodległość, a tylko w skromnym zakresie - j ale ta Polska ma być urządzona.

Skąd zatem czerpano wzorce? Choćby prawne czy administracyjne. Kraj był podzielony na trzy części, w każdym z zaborów panowały inne obyczaje i obowiązywało inne prawo.

Czasu na wymyślanie Polski wiele nie było, bo polscy politycy koncentrowali się na walkach o jak najkorzystniejsze granice. Zatem nie był to dobry okres na poszukiwanie rozwiązań prowadzących do szybkiej i głębokiej unifikacji państwa, tym bardziej że nasz los komplikowało dziedzictwo przejęte aż z czterech państw: Rosji, Niemiec, Austrii i Węgier (Spiszu i Orawy).

Po Wielkiej Wojnie w Europie Środkowo-Wschodniej powstało kilkanaście państw. Polski kłopot polegał na tym, że byliśmy jedyną nacją, która była zmuszona składać w całość cztery segmenty z dziedzictwa dawnych państw zaborczych.

Inni nie mieli takiego problemu. Weźmy Czechów czy Słowaków, którzy należeli wyłącznie do państwa austro-węgierskiego, a Litwini, Łotysze, Estończycy czy Finowie zamieszkiwali wyłącznie Imperium Rosyjskie. Wystarczyło im dostosować stare prawa i systemy administracyjne do nowej rzeczywistości i po kłopocie.

W Polsce roku 1919 nie było gotowych pomysłów, jak kraj sklejać, dlatego wybrano rozwiązanie najrozsądniejsze: nie eksperymentowano, a jedynie korzystano z dotychczasowego dorobku zaborców. Czyli w dawnych polskich prowincjach państw zaborczych zachowano dotychczasową administrację, prawo, sądownictwo, a nawet system poboru wojska. Zmiany były niewielkie i głównie ograniczone do wymiany kadr.

Trzeba pamiętać, że w tamtym czasie mieliśmy kilka konfliktów zbrojnych, bardzo poważne problemy z aprowizacją, szerzący się bandytyzm, napięcia etniczne i głód.

Te wszystkie kłopoty powodowały, że przez dłuższy czas nie było pomysłów na to, jak akcja scaleniowa ma wyglądać. Powołano, co prawda, komisję sejmową, która miała się tym zajmować, ale tak naprawdę rozpoczęła prace po 1921 roku, czyli po zakończeniu działań wojennych na wschodzie. A na nowe kodeksy prawne musieliśmy jeszcze poczekać.

W czasie zaborów zdążyło wyrosnąć kilka nowych pokoleń. Jak głębokie były podziały między Polakami?

Głębokie i trudne do szybkiego zniwelowania. Łatwiej było dostosować szerokość torów kolejowych. Różnice mentalne istniały już w czasach I Rzeczpospolitej. Inaczej postrzegali świat, mieli inne wartości szlachcice z jej części wschodniej, a inaczej z zachodniej. To samo dotyczyło poddanych. W czasie zaborów stare podziały się pogłębiły. Kontakty międzydzielnicowe były stosunkowo słabe, gdyż nawet koleje były dostosowane do organizmów państwowych, do których przynależały. Ani Kraków, ani Poznań nie miały bezpośredniego

połączenia z Warszawą.

Rządziły stereotypy?

Oczywiście. Widać to było choćby w trakcie prac parlamentarnych. Mieszkańcy Królestwa o ludziach zaboru pruskiego mówili „krzyżacy", a tamci nazywali ich „moskalami". Wyobrażano sobie dosłownie np., że mieszkaniec Krakowa, słynny „centuś", jest tak skąpy, że robi jajecznicę tylko z połowy jajka.

A porozumienie na poziomie języka?

W mowie potocznej pełno było germanizmów i rusycyzmów, nie mówiąc już o wyrażeniach regionalnych. Niejednokrotnie nie rozumiano tekstów rządowych odezw czy uchwał Sejmu. Oczywiście, elity sobie radziły, ale jeśli w naszym obrazie uwzględnimy licznych analfabetów, to możemy sobie wyobrazić, jakie były kłopoty.

Trudności językowe przeszkadzały zwłaszcza wwojsku. Na przykład żołnierze pochodzący z zaboru austriackiego nie rozumieli komendy „przerwać ogień", ale rozumieli treść tej komendy po niemiecku. Z kolei komendy wydawane w wojskowej gwarze polsko-rosyjskiej wydawane przez oficerów z byłej armii carskiej nie mogły być zrozumiałe przez pozostałych. To bardzo komplikowało przebieg wojny na wschodzie. Przyznał to po latach Piłsudski.

Wojsko Polskie, które dopiero się formowało, nie budziło zbytniego entuzjazmu. Wojna ledwo co się zakończyła, a trzeba było iść się bić o granice. I tu nowy problem: dezercja.

Polscy oficerowie, zwłaszcza byli legioniści, oczekiwali, że jak żołnierze wrócą z wojny, to chętnie wstąpią do Wojska Polskiego. W końcu są Polakami. Było zupełnie na odwrót.

Według szacunków na terenie Galicji zaledwie jeden na stu byłych żołnierzy był gotów dalej podjąć służbę. Pozostali chcieli po latach wojny wrócić do swoich bliskich, gospodarstw,

słowem do dawnego życia. Trudno oczekiwać innej reakcji. Początkowo zaciąg do wojska był ochotniczy, a entuzjazmu, zwłaszcza wśród dawnych żołnierzy, nie było. Trzeba było wprowadzić pobór. Wielu się nie stawiało, wielu dezerterowało. To jest specyfika tamtych czasów i problem dotyczył wszystkich armii, które wówczas powstawały: litewskiej, czechosłowackiej, Armii Czerwonej. W roku 1919 dezercja w Wojsku Polskim sięgała 30-40 proc., choć były okręgi, gdzie dochodziła do 60 proc. Dla porównania w latach 30. było to 1-2 proc. Oficerowie często uważali, że skoro ktoś dezerteruje, to znaczy, że nie chce się bić za Polskę. Inni zaś mówili, że lepiej dać im spokój, niech idą do domu, bo i tak nie będzie z nich pożytku.

Były pokazowe egzekucje dezerterów?

- Zdarzały się, ale sporadycznie. Częściej w roku 1920, rzadziej w 1919. Prawo rzeczywiście przewidywało karę śmierci za dezercję, ale do tego rzadko sięgano i głównie w przypadku osób, co do których podejrzewano, że działają na szkodę armii polskiej. Na przykład agentów bolszewickich.

A szkolnictwo? Jak poradzono sobie ze stworzeniem jednolitego systemu edukacji?

Rzecz jasna przeszkadzały odmienne systemy szkolne i różny poziom alfabetyzacji, przejęte w spadku po zaborcach. W zaborze pruskim, na Pomorzu i w Wielkopolsce, a także na Górnym Śląsku analfabetyzmu praktycznie nie było. Brakowało za to polskich nauczycieli, bo w szkołach zaboru pruskiego prawie 100 procent stanowili nauczyciele niemieccy.

W pozostałych częściach ziem polskich analfabetyzm był wysoki. W Galicji około jedna trzecia mieszkańców nie składała liter i nie umiała policzyć do stu. W Królestwie ten poziom był jeszcze wyższy. Na Kresach Wschodnich sięgał nawet 80-90 proc. Bywały wioski, gdzie nikt nie umiał czytać, łącznie z wójtem. Brakowało nauczycieli. Dlatego w trybie pilnym uruchamiano seminaria nauczycielskie. Brakowało obiektów szkolnych. Wprowadzono jednak rzecz wspaniałą, co należy zapisać na sukces II Rzeczypospolitej, a mianowicie obowiązek szkolny - siedem klas bezpłatnej szkoły powszechnej dla dzieci od 7. do 14. roku życia.

Złoty polski został wprowadzony reformą Władysława Grabskiego dopiero w 1924 r. Jak radzono sobie do tego czasu?

W 1919 r. polskie władze uznały, że oficjalną walutą będzie marka polska, którą wprowadzili okupanci niemieccy jeszcze podczas Wielkiej Wojny. O nowej walucie myślano już w 1919 roku Nazywano ją różnie: lechem, kościuszką, polonią itd., skończyło się jednak na wymianie opinii i ostatecznie została marka polska. Nie cieszyła się jednak zaufaniem mieszkańców. Na wschodzie powszechnie używano carskich rubli, w Galicji koron, a w zaborze pruskim marki niemieckiej. Tak więc marka polska była w obiegu, ale jakby jej nie było. Była to wymarzona sytuacja dla spekulantów-waluciarzy, których wtedy było naprawdę pod dostatkiem.

A co z przestępczością? Jak wielki był to problem w pierwszych miesiącach wolnej Rzeczpospolitej?

Dzisiaj trudny do wyobrażenia. Administracja i policja państw zaborczych już nie działały, a nowa, polska administracja była dopiero w trakcie tworzenia. Jej głównym zadaniem było formowanie Wojska Polskiego (na wojsko szło 50-60 proc. budżetu), a nie dbanie o bezpieczeństwo obywateli. W związku z tym, skoro państwo jest słabe, żandarmeria i policja nie działają jeszcze efektywnie, to trudno tego nie wykorzystać dla swoich egoistycznych celów. Tym bardziej że w spadku po wojnie mieliśmy liczne zielone brygady, składające się z dawnych żołnierzy dezerterów, głównie z armii austro-węgierskiej. Według szacunków w Galicji w listopadzie 1918 roku w lasach i wioskach ukrywało się ok. 40 tys. dezerterów, co oznacza, że było ich więcej, niż liczyło Wojsko Polskie.

Zielone brygady napadały na wszystkich, którzy dysponowali majątkiem: na Żydów, proboszczów, na dwory ziemiańskie, młynarzy, kowali itd. Ci, którzy dezerterowali z polskiej armii, najczęściej do nich dołączali. Bandy napadały nawet na miasteczka, dokonując grabieży w biały dzień.

Ciekawe, że choć relacje polsko-żydowskie nie układały się wówczas najlepiej, to na gruncie przestępczym Żydzi i Polacy potrafili współpracować.

Powiem więcej: była to współpraca doskonała, oparta na solidnym fundamencie wzajemnych korzyści. Liczne źródła potwierdzają istnienie polsko-żydowskich spółek przestępczych. Polacy dokonywali napadów, a Żydzi upłynniali produkty na czarnym rynku. Stąd na pierwszy rzut oka zaskakująca obecność w języku polskim takich słów pochodzących z języka jidysz jak „ksywka”, „melina”, „szmugiel” czy „szaber”.

Co więc było największym spoiwem tożsamości narodowej?

Nie zawiodły polskie elity, inteligencja oraz ludność robotnicza skupiona wokół sztandaru PPS. Te środowiska wsparły państwo polskie i ci ludzie uważali, że trzeba wykonać solidną pracę na jego rzecz. Determinacja przywódców politycznych i momentami umiejętność porozumienia się ponad podziałami pozwalały na pokonywanie trudności.

Po drugie, mieszkańcy Rzeczypospolitej dostali bardzo wymierne wsparcie ze strony aliantów, poczynając od pomocy Amerykanów w ramach komisji Hoovera. Około 2-3 min dzieci dostało buty, płaszcze na zimę, kakao, czekoladę, mleko kondensowane. Pomoc otrzymali także dorośli. Wszystko to przywieźli pracownicy Hoovera z Ameryki. Poza tym dostaliśmy sprzęt strażacki i samochody, a Brytyjczycy pomogli wyposażyć polską policję. Warto pamiętać o specjalistach, m.in. kolejarzach, pocztowcach, którzy przyjeżdżali do nas, by doradzać i pomagać. Bez tej pomocy byłoby nam znacznie trudniej. Oczywiście alianci nie robili tego z powodów wyłącznie altruistycznych. Nie chcieli, aby Polska stała się siedliskiem anarchii i kolejnym obszarem rewolucji.

Czy niepodległość przyszła w ostatnim momencie?

W dużym stopniu tak. Przypuszczalnie jeszcze dwie generacje, czyli około 50 lat, i prawie nie byłoby Polaków na Śląsku, tale silna i skuteczna była tam akcja germanizacyjna. Podobnie było na Pomorzu i w Wielkopolsce. Tam wrastanie Polaków w państwa zaborcze było bardzo intensywne, i to nie tylko w Prusach, ale i Galicji. Polscy żołnierze z Galicji mówili o sobie „my Austryjaki”, a jak szli w kierunku Lublina, to powiadali, że widzieli „ruskie domy”. Gdyby koniunktura na niepodległość Polski pojawiła się na przykład dopiero w 1968 roku, to ze względu na coraz większe różnice kulturowe, mentalne, cywilizacyjne dzielące Polaków byłoby o wiele trudniej się zjednoczyć i zapewne już bez zaboru pruskiego.